Nr. 7. We Lwowie dnia 12. lutego 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Cierpiącym...



Niechaj sławiona będzie ta godzina,
Gdy po raz pierwszy człowiek wyrzekł: cierpię!
W cierpienia walce duch siłę swą czerpie —
W rozkoszach bytu słabnie, nikczemnieje!

Błogosławiona niech będzie kraina,
Gdzie gorzki piołun łzą podlany wschodzi:
Tam wstanie słońce z pośród chmur powodzi,
Co spełni wszystkie narodów nadzieje...

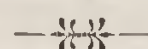
Błogosławione bądźcież wy, poddasza,
Siedliska nędzy — kurne chaty ludu:
Znów się staniecie objawieniem cudu,
Przybytkiem świętym, arką wybawienia!

Błogosławiona niech będzie łez czasza!
Głuchy jęk więźnia, co śród nocy kona —
Płacz matek... Niechaj pieśń będzie sławiona,
Z bólu poczęta pieśń — jasnowidzenia.

1893 r. *Jan Zdora.*



Jokaj i młodzież.



»Życie«, organ postępowej naszej młodzieży, umieściło w ostatnim swym numerze z dnia 1. lutego artykuł o jubileuszu Jokaja, z którego przytaczamy przemówienie jakiem młodzież węgierska złożyła hołd sędziwemu jubilatowi, oraz tegoż odpowiedź.

»Czcią przejęci stajemy przed Tobą mówił w imieniu węgierskich akademików jej przedstawiciel Władysław Parcsetich. — Nie witać Cię pragniemy w tej chwili, bo i cóż nowego moglibyśmy Ci wypowiedzieć po tylu tak świetnych przemówieniach, ale przyszliśmy tu, by złożyć przed Tobą ślub. Ślubujemy, że cześć tę, którą przeszłość i teraźniejszość składa jeniuszowi największego z węgierskich pisarzy, będziemy się starali zachować na przyszłość, i jeśli to możliwe, w coraz wyższym stopniu krzewić z pokolenia w pokolenie. Czynimy to nie tylko dla tego, że najgłębszym poważaniem otaczamy Twoją wybitną indywidualność, ale i z tego powodu, że czujemy, iż naród nasz nie dopiął jeszcze ostatniego celu swego posłannictwa. Naród nasz snać będzie wielkich dzieł jeszcze dokonywał. W chłodnym realiźmie dzisiejszej doby łaknie on jednak ożywiającego ciepła idealizmu. Tym idealizmem przejętemu, którego szczytnym wzorem jesteś Ty, wielki mistrzu, niechaj mi wolno będzie uczynić porównanie. Tysiąc lat mija, kiedy Arpad, wielki założyciel naszej Ojczyzny przybył w te strony, zawojował kraj i potęgą swej broni wiódł naród węgierski wobec całego świata do świetnych zwycięstw. I oto dziś, w przededniu tysiącznej rocznicy, stanął śród nas wielki wieszcz, którego dzieła zna świat cały, a który węgierskiemu imieniu bronią ducha swego wywalczył sławę i rozgłos. Przed Tobą, wielki jeniuszu Węgier, chyli się cała młodziaż i życzy, aby twój duch płomienny długo jeszcze roztaczał świetlane blaski nad Ojczyzną naszą i abyś długo jeszcze mógł do narodu swego wołać: Podnoście ducha, umiłujcie piękno i dobro. »Excelsior!« — (Przeciągłe i grzmiące okrzyki: »Eljen!«)

Jokaja odpowiedź tak brzmiała:

»Bądź pozdrowiona nadziejo Ojczyzny mojej! W pięciu lat dziesiątkach widziałem przed sobą podrastających tyle nowych pokoleń. Bo dziś po dziesięciu latach już się starzejemy. Z młodziutkich pędów powstają stare lasy palmowe. I z najmłodszem pokoleniem tak będzie. Młodzieży, wlewaj w pracę powagę, w życie tchnij swobodę i wesołość. Nie marnotraw, ale i nie skąp i nie kryj uczuć swoich. Korzystaj z postępu i wiedzy zagranicy, ale nie naśladuj ślepo wszystkiego, co obce. Porzuć błędy przodków, ale strzeż i zachowaj dziadów cnoty. Bądź nie »złotą« ale *żelazną* młodzieżą swego narodu. Na barkach twoich spoczywa ciężar przyszłości: bądź silną, niezłomną, abyś go mogła unieść zwycięsko. My wam pozostawiamy wolną Ojczyznę w dziedzictwie, ale wrócimy tu i z tamtego świata, aby zażądać od was rachunku, jakeście Ojczyzny Węgier strzegli, jak bronili, jak kochali. Niechaj was Bóg wiedzie na wszystkich drogach waszych!«

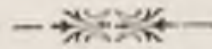
»Przytoczyliśmy słowa powyższe — pisze »Życie« — aby obudzić wśród czytelników naszych zazdrość do narodu węgierskiego, którego najwięksi mężowie w ten sposób do młodzieży przemawiają. U nas inaczej, ale bo też u nas nie ma... Jokajów«.



Słowo o wydawnictwach „Macierzy Polskiej".

Napisał

J. BOJKO.



Iż do znudzenia gadają nam w niedzielę, że grzech czytać, ale — Boże daruj — tak coś ciągnie do czytania gazet i książek, jak dawniej do karczmy na granie i do kieliszka. Jaki taki, choć pokryjomu — choć nawet w nocy pod żłobem*), to czyta i jak się z jednej strony serce krwawi na widok niesumiennego tłumienia oświaty, tak z drugiej strony czuje się błogą radość na widok tylu czytelników, tylu chciwych wiedzy. Ciekawy to fakt, i potomni z pogardą na gaszących światło między ludem oglądać się będą.

Wszakże na cóż szkoły zostały założone, jeżeli nie na to, aby się czytać można nauczyć? Na cóż znów znajomość czytania chłopu, jeżeli za czytanie duszkiem do piekła pójdzie, i jeżeli za nie cierpieć musi. Bo to wy, oświeceni bracia, nie macie pojęcia, co nas za to spotyka. Przychodzi n. p. do mnie wójt z sąsiedniej parafji i powiada, że go ks. wikary po kolendzie ominął. Ja go aż tem pocieszył:

— Słuchaj bracie, bądź dobrej myśli, bo mnie obaj z organistą ominęli, a myślisz, żem im złorzeczył? Niech im ta P. Bóg da za to zdrowie, a Matka Boża pieniędzy.

Wszystkie oświecone narody starają się właśnie o to, aby lud był oświecony, bo wiedzą, że wiedza to jest potęga, i dzięki tej zasadzie utrzymały się na widowni politycznej, są niezależnymi i kpią sobie z biedy; u nas tylko ze strasznej nietolerancji doczekaliśmy się rozkawałkowania — doczekaliśmy się rozdwojenia, i w dodatku »jakby mało było jeszcze nieprzyjaciół, tak się nieszczęsny naród sam na siebie zaciął«, że brat bratu słonka żałuje!

Prostoduszni, zacni ojcowie nasi mieli inne przyjemności, bo czytać nie umieli. Im zupełnie wystarczyło, jak im zabandurzyli w karczmie na skrzypkach, a gdy poskakali, to siedli pod ścianą »pijąc do siebie kwartą blaszaną, wypijcież kumie, Bóg zapłać kumie«, jak Lenartowicz śpiewał. My się tem bawić i zadowolnić nie możemy — nam brak rozumu — nam brak wykształcenia politycznego — toż czytać musim koniecznie, albo nazad wrócim do karczem.

Świętej pamięci Józef Ignacy Kraszewski, nauczywszy czytać inteligentną część narodu polskiego, spojrzał czułem okiem na te tysiące chat wieśniaczych, i zabolało go serce, że ci prostaczkowie czytać nie umieją i nie mają za co. Widział, że mnożące się szkoły lud ten, czy tam wolą, czy niewolą, czytać nauczą, ale przyszło mu na myśl, że to są biedacy, których nie stać na książkę drogą. I dał krwawo zapracowany grosz, aby założono tak zwaną »Macierz polską«.

Cały kraj z radością powitał ten czyn, a co już my chłopi, co czytamy od 24 lat, tośmy byli pełni otuchy, że ta Macierz swym dzieciom będzie wiedziała, co dać do pożywienia.

Tymczasem cóż się dzieje? Z żalem musimy powiedzieć, że instytucja ta nie dorosła jeszcze do tego, aby mogła się szumnie „Macierzą", tj. Matką nazywać, wystarczyłoby jej, aby się zwała n. p. „ciotka".

Tuśmy się spodziewali konika, a urodziła się ledwo mysz.

Dziwi mię to niepomiernie, czemu ludzie, kierujący tą instytucją, nie zadadzą sobie tego prostego pytania — dlaczego? Dlaczego n. p. „*Niedziela*", mająca aprobatę Najp. Biskupów i zasiłek od Sejmu 2500 złr., zaledwo ma tysiąc prenumeratorów? I dla czego chłopi z wyższem wykształceniem „*Niedzieli*" czytać absolutnie chęci nie mają i nie prenumerują. Dla czego gazety wyklęte z pewnością nie mniej, a może przeciwnie więcej mają prenumeratorów, i to z tą różnicą, że ostatni są ludzie już świadomi i oczytani?

Dla czego n. p. i książeczki tego wydawnictwa nie wszystkie są szczęśliwie urodzone? Nie jestem znów tak zarozumiałym, żebym w czambuł potępił to wydawnictwo, bo dla tych ludzi, co zeszli z elementarza i dopiero się zabierają do czytania, to takie czytanki wystarczyć muszą, bo jak to mówi przysłowie, »jak nie ma koni, orzmy choć krowami«.

Ale dla ludzi, których kształcił swym „*Kmiotkiem*" śp. Anczyc, którzy się rozkoszowali religijno-historycznym i legendowym „*Dzwonkiem*", a nawet i dla tych, którzy się kształcili na dobrze niegdyś redagowanej „*Chacie*", i „*Nowinach*", a tembardziej na wyklętej dziś „*Pszczółce*" i znakomitym „*Przyjacielu Ludu*", cóż to za wstrętne są takie artykuły, jak n. p. czytałem w r. 1893 o płocie kiełbasianym? Artykuł ten wydrukował r. 1869 czy 70 „*Kmiotek*", i to z wspaniałą ilustracją. Pamiętają to może szan. czytelnicy. Ja to jako chłopak szkolny czytywałem po domach, i powiastka ta interesowała ludzi nawet najprościejszych. Potem w któremś czasopiśmie znów się z tym fantem spotkałem, jeno że już było do góry nóżkami wykręcone,

*) Autentyczne.

aż nareszcie znowu „*Niedziela*“ to umieszcza. I takich przeróbek niefortunnych, niestosownych, a wstręt wzbudzających dla częstego drukowania, dosyć się znajdzie w „*Niedzieli*“, jakoteż i w innych tego kroju gazetkach. I żeby to piszący napisał pod artykułem: „napisał N. N. podług gazety „Kmiotek“ itd., ale on dumny pisze się jako autor, a ten, co to już 5 razy w lepszej formie czytał, rzuca takie przeżuwane rzeczy do kącika i dziwi się, jak to można czyją pracę za swoją uważać. Takie pismo, jak „*Niedziela*“ powinno mieć powieści oryginalne a nie fantastyczne, dziś chłop czytający na plewę złapać się nie da. Jemu trzeba coś pożywniejszego i pożyteczniejszego. N. p. »Sprawy polityczne« są w tak małym kąciku pomieszczone, i w tak różowym kolorze przedstawione, że aż nieraz brzuch człeka boli. Czyta się nawet w konserwatywnych dziennikach inaczej; a w „*Niedzieli*“ słodziutko, nie każdy słodycz lubi. Krytycznie rzecz przedstawić potrzeba, nie z namiętnością, nie z goryczą, ale przecież jakoś wyraźniej.

Na „*Niedzielę*“ i nasz krwawy grosz idzie, toć my powinni to pismo też mieć w ręku i korzystać z niego, dlatego mam tę nadzieję, że zarząd »Macierzy« nie będzie taką się kierował zasadą, że chłopu nie potrzeba wszystkiego wiedzieć, że się „o tem sukmanie nie mówi“, jak to gadają. Szczególniej n a s i posłowie powinni zrzucić pychę ze serca i zająć się tą sprawą, aby pieniądze Nestora polskiego i krajowe na marne nie wychodziły.

Przed kilku dniami odbyło się otworzenie czytelni ludowej w Gręboszowie. Krakowskie Tow. oświaty ludowej wspaniałomyślnie ofiarowało przeszło 100 książeczek na czytelnię ludową.

Między temi książeczkami jedne są wydawnictwa „Macierzy polskiej“, a drugie wydawnictwa warszawskiego. Przeglądałem te ostatnie, i smutno mi się na sercu zrobiło. Mimo, że moskiewska cenzura wygryza, co tylko ma cechę cieplejszą, i z pewnością nie prędzej wypisze swoje stereotypowe »Dozwoleno cenzuroju«, aż obetnie biednego autora, że jego rękopism wygląda, jak łan zboża po gradobiciu — a jednak książeczki warszawskie stoją o wiele wyżej od książeczek „Macierzy“ tak co do treści, jakoteż i technicznego wykonania. Jakże się ckliwo robi, gdy się weźmie n. p. broszurę „braterstwo ślubne“, jakieś „sestry“ i »posestry«, „teski“. Co to za dziwolążki? Cóż znów za korzyść może odnieść czytelnik z broszury p. t. „O tych, co poszli wiosny szukać“, albo „Dobry syn, bajka z przed tysiąca lat“. Chłopi — moi panowie — umieją tyle bajek i to wcale udatnych i zawierających nieraz głębokie prawdy, że wam by trzeba się od nich tychże uczyć, ale czyż już wszystko pisane było, co ludowi gwałtem potrzebne, że aż się go bajkami zbywa?

Wreszcie chłop jak tylko taką fabułę usłyszy, to zaraz powiada: „ajno, on ta był, on ta wie, jak było przed tysiącem lat, to jest baja wierutna“ itp.

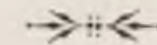
Nie przeczę, że i powiastka udatna rozweseli umysł skłopotanego rolnika, ale czyż mało mamy dzieł arcyciekawych i czyby je bodaj w skróceniu rozumnem podać ludowi nie można?

Kilka tych słów nakreśliłem tylko dla tego, aby się dowiedzieli w kraju ludzie, że żądamy w poważniejszej formie i pożywniejszej strawy, ale nie w chęci dokuczenia takiej instytucji, jak „Macierz“, albo tym ludziom, co kierują tem wydawnictwem.



KARTKI NAUKOWE.

Decentralizacja zakładów naukowych. — Nowe instytucje naukowe w Brukselli. — Uniwersytety ludowe i demokratyzowanie nauki.



Do niedawnego czasu nauka w uniwersytetach zasadzała się jedynie na wykładach; audytorja, opatrzone katedrą i rzędem ławek, starczyły do nabywania wiedzy. Obecnie wymagania wzrosły; doświadczalna metoda, ogólnie dziś przyjęta, wprowadziła najrozliczniejsze zmiany w urządzeniach uniwersyteckich: laboratorja, muzea, liczne przyrządy stały się nieodzownymi. Każdy wydział, każda niemal nauka, wymagają osobnego dla siebie gmachu, który można by nazwać instytutem, zakładem lub szkołą, poświęconą jedynie określonej gałęzi wiedzy.

Niemcy najwyżej stoją pod względem decentralizacji naukowej; np. w Strasburgu istnieje obszerna dzielnica miasta, poświęcona zakładom uniwersyteckim, obszerne gmachy, zbudowane wśród rozległych ogrodów, pozwalają młodzieży użyć spoczynku i świeżego powietrza po odbytym dniu pracy. Widzimy tu fizyczny instytut Hertza, fizjologiczny Goltza, instytut anatomji patologicznej i opisowej Schwall'a, instytut chemji fizjologicznej, wreszcie szpital, zbudowany w kształcie prześlicznej willi, otoczonej parkiem i ogrodem kwiatowym.

We Francji do niedawnego czasu dążono doześrodkowania wszystkich zakładów naukowych; zrozumiano jednak, iż system ten nie sprzyja rozwojowi wiedzy. Pod wpływem nowych wymagań, zaczęły powstawać nad brzegiem morza liczne stacje zoologiczne, Roscoff, Banyuls i inne, poświęcone wyłącznie badaniom zwierząt morskich. Bakteorologiczny instytut Pasteura nabrał wszechświatowego znaczenia.

W Anglji system decentralizacji naukowej jest prawie tak rozwinięty, jak w Niemczech. Z pomiędzy licznych zakładów naukowych wy-

mienimy instytut kliniki chirurgicznej w Glasgowie, położony wśród królewskiego iście parku, urządzony według wszelkich wymagań hygjeny. Znakomity Thompson stoi na czele instytutu fizycznego; wykłady są tu udzielane przez samych studentów, profesor wskazuje tylko metody. W Hollandji istnieje wspaniały instytut w Utrechcie, poświęcony chemji fizjologicznej, na czele którego stoi prof. Engelmann.

W Petersburgu założono przed kilku laty wspaniale urządzony instytut medycyny doświadczalnej, gdzie pracuje znakomity chemik Nencki.

W Belgji od 1889 r. zaczęto pilnie śledzić nowy ruch naukowy; przeznaczono cztery miljony franków na ulepszenie urządzeń uniwersyteckich w Liége i Gandawie. W Liége założono instytut chemiczny pod kierownictwem Springa, instytut zoologiczny pod kierownictwem Van Benedena, oraz instytut fizjologiczny Fredericq'a. Uniwersytet Brukselski, tak mało znany w naszym kraju, nabierze wkrótce europejskiego rozgłosu, dzięki założeniu kilku nowych instytucji, które ułatwią najpoważniejsze badania naukowe. Znany przemysłowiec belgijski Ernest Solvay założył tu własnym kosztem instytut fizjologiczny. Część gmachu przeznaczoną jest dla specjalnych poszukiwań naukowych, a druga część oddaną jest do użytku studentów. Instytut znajduje się wśród pięknego parku, zbudowano go z kamieni, żelaza i szkła, a właściwie ze szkła, ujętego w żelazne ramy; całe niemal ściany są przezroczyste, tak iż na zewnątrz gmach posiada wygląd szklanego pałacu, bogato ozdobionego majoliką. Parter zajmują liczne laboratorja: fizyki doświadczalnej, chemji fizjologicznej i fizjologji doświadczalnej; na piętrze znajduje się obszerne audytorjum w kształcie amfiteatru oraz bibljoteka.

Alfred Solvay, idąc za przykładem brata, założył instytut hygjeniczny; jestto również szklany gmach, położony w tymże samym parku; mieścić on będzie laboratorja bakteorologiczne, sale dla doświadczeń nad zwierzętami, amfiteatr, w którym katedra oddzieloną będzie od widzów za pośrednictwem kurtyny, za którą profesor i asystenci mogą przygotować przedmioty niezbędne do wykładu, nie będąc widzianymi. Operowane zwierzęta, potrzebne do wykładu, zjawiać się będą na stole profesora za pomocą windy, pod sceną bowiem znajdować się będzie pracownia asystentów. Wreszcie bogacz Varocqué zakłada instytut anatomiczny i ofiaruje go uniwersytetowi brukselskiemu. Sala do dysekcji, cała oszklona, mieścić się będzie na specjalnie urządzonych lodowniach, które podtrzymywać będą w sali stałą temperaturę. Magazyny do przechowywania trupów będą również otoczone podobnym systemem lodowni i starannie dezynfekowane.

* * *

Wszystkie te wspaniałe przybytki wiedzy, które wyliczyliśmy, są dostępne tylko dla małej garstki szczęśliwych ludzi, mogących poświęcić swój czas wyższym studjom naukowym, oraz rozporządzających środkami, dającymi wstęp do owych zakładów. Należało jednak pomyśleć, aby i uboga klasa społeczna, w pocie czoła pracująca na swe wyżywienie mogła również korzystać z najwyższych dobrodziejstw i rozkoszy, jakie daje nauka. Duch demokratyczny, ogarniający coraz szersze masy wykształcone, wskazał potrzebę urządzenia tak zwanych uniwersytetów ludowych, gdzie wszyscy bez różnicy płci, pochodzenia, wykształcenia i majętności mogliby utulić swe pragnienie u żywego źródła, zwanego »Wiedzą«.

Popularne wykłady naukowe najwcześniej powstały w Anglji, gdyż datują się od 1850 r., lecz były to wykłady luźne, pozbawione między sobą łącznika, a profesorom brakowało często umiejętności zaciekawienia słuchaczy. Podstawy uniwersytetów ludowych zarysowały się w 1855 r. Uniwersytety ludowe tem różnią się od zwyczajnych popularnych wykładów, iż powstają pod zarządem uniwersytetów klasycznych, które dostarczają im profesorów i zakreślają program wykładów. Wskutek tej systematycznej organizacji słuchacze uniwersytetów ludowych mogą składać egzamina i otrzymywać dyplomy. Uniwersytety ludowe rozwijają się w Anglji szybko i zyskują coraz więcej słuchaczy. Główne angielskie uniwersytety w Cambridge, Oksfordzie i Londynie urządzają co roku szereg wykładów według określonego planu; profesorowie czyli tak zwani misjonarze, jeżdżą po całym kraju i powtarzają swe odczyty. Każda prowincja wybiera z listy wykładów najodpowiedniejsze dla siebie, zgłasza się do najbliższego uniwersytetu i zaprasza misjonarza na owe odczyty. W 1890 i 1891 r. było w Anglji ogółem 457 kursów dla ludu i przeszło 44.000 słuchaczy, połowę których stanowią kobiety.

Jakież rezultaty wydały uniwersytety ludowe w Anglji? Przedewszystkiem rozbudziły zamiłowanie do wiedzy wśród umysłów ciemnych lub mało wykształconych. Wśród robotników niektórzy dochodzą do prawdziwego wyspecjalizowania się w niektórych naukach; stają się kompetentnymi znawcami historji, literatury; górnicy poznają geologję swego kraju, zbierają i klasyfikują kolekcje skamieniałości, pochodzące z kopalni.

Uniwersytety ludowe, dzięki swemu charakterowi demokratycznemu, wydały również ważne rezultaty społeczne. Widzimy tu zmieszane wszystkie klasy społeczne, co niemało przyczyniło się do rozproszenia pewnych przesądów międzyklasowych, wynikłych z braku wspólnej znajomości. Na wykładach spotykamy robotnika siedzącego obok możnej pani i współubiegającego się z nią o nagrodę. Uniwersytety ludowe stały się niemniej pożytecznymi dla dawnych uniwer-

sytetów, które straciły były całkiem związek ze społeczeństwem, co mogło stać się dla nich zgubnem w dzisiejszych czasach rozwoju demokratycznego. Dzięki uniwersytetom ludowym nastąpiło zbliżenie między staremi szkołami i młodą demokracją.

Uniwersytety dla ludu istnieją także i w Szwecji; ciekawe szczegóły o nich umieścił przed dwoma laty »Przegląd tygodniowy«.

W Ameryce, w Stanach Zjednoczonych, uniwersytety ludowe znalazły grunt przygotowany i o wiele prześcignęły Anglję. Urządzone są na wzór angielskich. W Filadelfji 40.000 słuchaczy bywa na wykładach. Koło jeziora Erie znajduje się niezmiernie ciekawy instytut. Są tu najrozmaitsze szkoły i instytucje, między innemi jest gmach przeznaczony do wykładów filozofji, w kształcie doryjskiej świątyni, w pięknem bardzo położeniu, amfiteatr może pomieścić 7 do 8 tysięcy słuchaczy. Tuż znajdują się szkoły literatury i sztuk pięknych, wymowy, szkoły techniczne, muzyczne, pedagogiczne, historyczne, szkoły poświęcone językowi hebrajskiemu, matematyce, biologji, naukom społecznym, ekonomji politycznej, gimnastyce itp. Szkoły te są czynne podczas 6 tygodni letnich i wtedy najznakomitsi profesorowie przyjeżdżają tu na wykłady.

Wreszcie, w zeszłym roku, w ślady Anglji i Ameryki poszła Belgja. Zdecydowano, iż na wzór Anglji, uniwersytety belgijskie służyć będą za centra, zkąd rozchodzić się ma światło nauki po całym kraju. Grupa, złożona z profesorów oraz z dawnych i teraźniejszych studentów, założyła towarzystwo pod nazwą »Extension universitaire«, które zajęło się ułożeniem wykładów popularnych z zakresu nauki wyższej. Z pomiędzy licznych wykładów tegorocznych w Brukselli, wymienimy kilka: 1. Zasady ogólnej socjologji. 2. Prawne i ekonomiczne stosunki kobiety. 3. Współczesna historja. 4. Pochodzenie wszechświata. 5. Filozofja sztuki. 6. Naukowe podstawy rolnictwa itp.

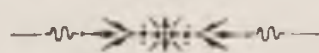
Publiczność tak tłumnie uczęszcza na owe wykłady, iż sale nie mogą pomieścić wszystkich słuchaczy.

Dr. M. Stefanowska.



MÓJ OJCIEC.

Opowiadanie L. K. Lazarevic'a.



(Ciąg dalszy.)

Rozumiał on doskonale, że postępuje źle, ale już go złe tak opanowało, że nie mógł sobie dać rady. A przecież... śmiesznem to może się wydawać — ale doprawdy był on w gruncie dobrym człowiekiem — tylko mu jakoś tak...

Razu pewnego powrócił on już dosyć późno. Nie był sam jeden. Zdziwiło to matkę. Przeszli przez dziedziniec, udali się do stajni. Słyszymy po chwili stąpanie i parskanie konia. Nie wiedziałem, coby to mogło znaczyć.

Kiedy niezadługo wszedł do izby, począłem chrapać; siostra również udała śpiącą. Ojciec powiedział: »dobry wieczór!« — i zamilkł.

Milczy on, milczy i matka. Czekamy, co będzie dalej.

Matka, westchnąwszy, ozwała się:

— Zabrali nam kasztanka...

— Zabrali — odpowie.

Znów milczą, słyszę tylko przerywane i tłumione łkania matki.

— Dymitry — poczęła — na miłość boską, na tę dziatwę naszą zaklinam cię, porzuć spółkę z djabłem. Kto z nim trzyma, ten zgubiony i na tym i na tamtym świecie. Spójrz na tego Jowana karciarza! Taki to był zamożny gospodarz, a dziś zeszedł na to, że zbiera cudzą dębiankę i skupuje po wsiach skórki dla żydów. Chciałżebyś na Boga, abym musiała na starość żebrać kawałka chleba, a dzieciska te nasze poszły w służbę do obcych ludzi?

I jęczała biedna, aż się mi serce krajało.

Ale ojciec jak nie krzyknie:

— Czego się uwzięłaś zaklinać na dzieci i płakać nademną? Beczysz za tym zdechlakiem! Jutro, jeśli zechcesz dziesięć takich kupię.

Matka jednak płacze jeszcze rzewniej.

Wiem ja przecie, Dymitry, że konia kupisz, ale te łotry wszystko w końcu zabiorą. Porzuć, błagam cię, te przeklęte karty! Wiesz, że własną naszą krwią i potem dorobiliśmy się tego oto domu, za cóż mię więc mają złodzieje jacyś wypędzić z mej własnej siedziby?

— Ale któż cię wypędza?

— Nikt jeszcze dotąd, ale wypędzą nas z pewnością, jeśli będziesz i nadal tak postępować. Przeklęte to od Boga zajęcie!

— Po tysiąc razy już ci mówiłem, abyś mię nie uczyła i nie beczała po próżnicy! Nie zgłupiałem wszak jeszcze do tego stopnia, iżbym potrzebował żony za opiekuna!

Mijały tak dnie po dniach, a ojciec prowadził wciąż takie same życie. Przychodził często z kieszeniami, obładowanemi pieniędzmi. Trwonił je tak samo. Czasem wracał bez zegarka, bez pierścienia, bez siłaja. Zdarzało się znowu, że przynosił po kilka zegarków i pierścieni. Raz miał w ręku parę butów, surdut i tuzin srebrnych łyżeczek; któregoś dnia przydźwigał baryłkę suszonej ryby, a pewnego wieczora przywiódł napowrót kasztanka, tego samego, naszego. Nazajutrz kupił mu nowe chomąta z rzemieniami, zwieszającemi się do kolan. Zaprzągł go do woza, przystawił krzesło do drzwi naszego sklepu i pojechał przez miasto trrrr — że aż skry posypały się z pod kopyt.

My dziatwa, już eśmy się przyzwyczaili do tego, tylko matka wciąż płakała i martwiła się. Bo i jakże się nie miała martwić? Sklep podupadł, czeladnicy odchodzili jeden po drugim, w naszym domu szło wszystko jak w nawiedzonym, a pieniądze płynęły i płynęły.

Owi jego towarzysze poczęli już zaglądać i do naszej chaty. Zamkną się bywało w wielkiej izbie, zapalą kilka świec; dźwięczy złoto, szeleszczą karty, dymi tytoń, a sługa Stojan gotuje kawę sagan po saganie... A nazajutrz wszystkim pokazuje dukaty, które był otrzymał »na winko«. Matka tymczasem siedzi z nami w bocznej izbie, z nabrzmiałemi powiekami, z twarzą bladą, złożywszy wychudłe ręce na kolanach — i tylko szepce raz po raz: »Boże, zmiłuj się nad nami!«

Ojciec całkiem odwykł od domu. Ciągle milczy, nigdy nie spojrzy matce w oczy; nas ani pieści, ani strofuje. Wciąż ucieka z domu. Tylko pieniędzy nam daje, ile chcemy. Kiedy naprzykład trzeba kupić ołówek, on nam rzuci tyle, że i tuzin ich cały zakupisz. Do jedzenia kupował wszystko, co tylko było najlepszego w mieście. Odzież miałem najpiękniejszą w całej szkole. Ale jakoś przykro mi się robiło, gdym patrzył na matkę i siostrę — były one zmienione, blade, smutne. Nie wychodziły nigdzie. Na »sławę«*) nawet szły niechętnie. A i do nas kobiety bardzo rzadko zaglądały. Bywali tylko mężczyźni, ale i to tylko »łotry« i »pustaki«, jak ich nazywała moja matka. Handel w sklepie prawie ustał. »Alboż mam — mawiał ojciec — sprzedawać chłopom indygo za pięć groszy? Żydzi są od tego«. Matka nie śmiała już ani słówka wybąknąć, bo jej powiedział był razu pewnego:

— Zapamiętaj to dobrze, że jeśli choć raz jeszcze mi jednem słówkiem o tem piśniesz, to poszukam sobie innego mieszkania i wyniosę się; będziesz wtedy mogła prawić kazania komu chcesz. Za-pa-mię-taj że to dobrze!

Jednego wieczora zebrali się oni wszyscy. Wraz z nimi przyszedł jakiś Pera Zelenbacz, handlarz, który — jak powiadano — prowadził interesa z Pesztem. Miał on twarz tłustą, niezgrabny tułów, na głowie kapelusik na bakier, na piersiach złoty łańcuch, zupełnie podobny do tego jaki niegdyś miał ojciec. Postępując przez izbę, kołysał się jak landara, mówił głośno i przeciągle, a uśmiechał się bezustannie tymi swymi małymi, zielonymi oczkami. Patrzyłem nań ze strachem jak na puhacza.

Przyszli tedy, a Stojan natychmiast zabrał się do gotowania kawy. Zapalili świece. Dym od tytoniu począł buchać jak z komina. Piją kawę, milcząc jak turcy; słychać szelest kart i dźwięk dukatów.

Była to straszna noc!

Zamknęliśmy się z matką w osobnym pokoju. Ani ona, ani siostra już nawet nie płakały. Twarze im się wydłużyły, zapadłe oczy patrzą przerażone. Noc tę można porównać chyba tylko z ową chwilą, kiedy stryj nasz konał.

Kilka razy wpadał mój ojciec do naszego pokoju. Kroplisty pot go okrywał, jego dżemadan i koszula były rozpięte, tak, że widać było gęste, czarne włosy na piersiach. Był nasępiony jak turek.

— Daj jeszcze! — mówił do matki.

Milcząc jak kamień, odmyka matka skrzynię i sypie mu pieniądze do ręki. On je zawiązuje w chustkę, szepce do siebie: »jeszcze to tylko!« i wybiega z pokoju.

Raz »tylko«, drugi raz »tylko«, znów »tylko«. Wbiegł zdaje mi się po raz piąty do naszego pokoju około trzeciej z północy.

— Dawaj! — krzyknie, a twarz miał ciemną jak ziemia.

Słaniając się, niepewnym krokiem, poszła matka ku skrzyni. Widziałem z pod kołdry, jak mój ojciec zachwiał się i oparł o piec.

— Prędzej — powiada do matki, ocierając rękawem pot z czoła.

— Matka podała mu garść pieniędzy.

— Daj wszystko!

— Ostatnie to dziesięć dukatów! — odpowie matka. Ale to nie był już głos ani szept, tylko coś podobnego do jęku umierającego.

Chwycił owe pieniądze i czemprędzej wybiegł z pokoju.

Matka nawpół omdlona osunęła się przy skrzyni. Siostra krzyknęła. Wyskoczyłem z łóżka. Wyskoczył i Dziokica. Usiedliśmy koło niej na podłodze, całowaliśmy ją po rękach, powtarzając: »mamo, mamo!«

Ona położyła dłoń na mojej głowie i coś szeptała. Potem szybko się podniosła, zapaliła stoczek, a następnie lampkę przed obrazem św. Jerzego.

— Chodźcie, dziatki, pomódlcie się do Boga, aby nas wyratował z nieszczęścia. Jej głos dźwięczał jak dzwonek, a oczy błyszczały jak gwiazdy wieczorne. Pobiegliśmy pod obraz i wszyscyśmy uklękli. Dziokica umieścił się na klęczkach przed matką, zwrócił się ku niej twarzą, przeżegnał się, zmówił »Ojcze nasz« aż do słów »bądź wola Twoja« (bo więcej się jeszcze nie był nauczył), przeżegnał się ponownie, pocałował matkę w rękę i patrzył dalej w jej oczy, z których obficie łzy płynęły.

Długośmy się tak modlili. Nareszcie matka podniosła się, stanęła na stołku i ucałowała św. Jerzego. To samo uczyniła i moja siostra, potem obie one podniosły ku obrazowi mnie i Dziokicę. Następnie matka wyjęła zza obrazu suchy pęk bławatków i szklankę z wodą święconą, wiszącą tuż pod obrazem. Umoczyła bławatki w wodzie, i szepcząc coś, przeżegnała niemi nasz pokój. Z kolei, cichutko otworzywszy drzwi, na palcach zbliżyła się do dużego pokoju i kwieciem święconem przeżegnała także i tamte drzwi.

---

*) Uroczystość patrona pewnej rodziny.

Nie wiem już dziś dlaczego, ale tak mi naraz zrobiło się lekko na duszy, jak nigdy później w życiu.

Zaledwie matka zdążyła zrobić ostatni krzyżyk, gdy oto nagle w wielkiej izbie powstał hałas straszliwy. Nic nie można było zrozumieć, posłyszeliśmy tylko, jak Zelenbacz krzyknął:

— Któż to ma prawo zmuszać mię, abym grał dalej? Kto?

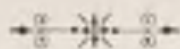
Zaraz potem wszczął się niezrozumiały zgiełk i powstała krzykliwa sprzeczka. Rozległo się stukanie otwierających się i zamykających drzwi, dały się słyszeć jakieś wrzaski i odgłosy kroków, oddalających się gości.

Ojciec nie przyszedł do nas. Daremnieśmy nań czekali. Poczęło już świtać, ja i Dziokica zasypialiśmy, a jego jeszcze nie było.

(Dok. n.)



Unarodowienie kopalń w Anglji i Francji.



W dwóch krajach, będących siedzibą indywidualizmu w gospodarce społecznej, prawie jednocześnie pojawiły się w parlamentach wnioski unarodowienia kopalń. Niepodobna upatrywać we wnioskach tych celów fiskalnych, jakie ma np. w Niemczech, proponowany przez rząd monopol tytuniowy, dążący do podniesienia dochodu skarbu. Są one raczej dowodem przeżycia się gospodarki indywidualistycznej, dowodem, że coś się psuje w tem królestwie duńskiem, a wywołane są przez powtarzające się prawie co roku, a w ostatnich latach na wielką skalę, bezrobocia górników w kopalniach węgla, fatalnie odbijające się i na innych gałęziach wielkiego przemysłu.

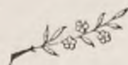
Wniosek, przedstawiony przez deputowanego Keir Hardie angielskiej Izbie gmin, jest osnowy następującej:

1 Maja 1895 wszystkie angielskie kopalnie mają przejść na własność państwa a ich właściciele do 1 maja 1894 mają swe prawa ministrowi spraw wewnętrznych wykazać. Ten ostatni mianuje komisję do oszacowania kopalń, a na podstawie ich szacunku wydane zostaną właścicielom bony oprocentowane i dające oprócz tego 3 prc. na amortyzację kapitału. Z dochodów kopalni winny być zarówno procenta jak i owe 3 prc. na amortyzację przedewszystkiem pokryte. Zarząd kopalni spoczywać będzie w ręku osobnego urzędu, którego prezydent będzie członkiem Izby gmin. Kobiety i chłopcy w wieku niżej 15 lat, oraz ci, którzy nie przeszli trzechletniego kursu szkolnego, nie mogą pracować w kopalniach, w których dzień roboczy nie może przekraczać 8 godzin na dobę. W dodatku do wniosku znajdujemy przepisy dotyczące pomocy dla robotników na wypadek choroby, emerytury i wynagrodzenia w razie kalectwa lub w ogóle niezdolności do pracy. Funduszów na ten cel potrzebnych dostarczać będą dochody z kopalni.

Odmiennej nieco natury i mniej zasadniczy jest wniosek, przedstawiony wkrótce po przedłożeniu Keir-Hardie'go francuskiej izbie deputowanych przez Goblet'a, przewódcę partji radykalnej.

1-szy jego artykuł powiada, że rząd ma prawo objąć w posiadanie kopalnie w niektórych wypadkach przewidzianych przez ustawę główną, oraz w razie, gdy bezrobocie trwa dłużej niż dwa miesiące. Dotychczasowi właściciele, jeżeli bezrobocie nie powstało z ich winy, mogą otrzymać wynagrodzenie za swe prawo własności wedle szacunku, który, po potrąceniu sumy, przypadającej właścicielowi gruntu i zapłaceniu długów na kopalni ciężących, nie może przewyższać połowy przeciętnego czystego dochodu za ostatnie pięciolecie i wypłacony zostanie w rencie państwowej. Osobne wynagrodzenie należy się właścicielom za zapasy i narzędzia. Eksplotacja kopalni prowadzona będzie albo we własnym zarządzie państwa, albo też oddaną zostanie pod pewnymi warunkami stowarzyszeniom robotniczym, wszelako na przeciąg czasu nie dłuższy nad lat 25. Dzień roboczy trwać będzie ośm godzin. Osobny przepis normuje podział dochodów z kopalni.

p.



Rozbiory i sprawozdania.

Z Gabryelski: Czem filozofia jest, a czem będzie? Kraków 1894.

Dziełko p. Gabryelskiego przypomina bajkę: Góra w połogu. Podziemne huki i gromy, oraz wstrząśnienia góry i okolic kazały się spodziewać, że owocem narodzin będzie coś olbrzymiego, co cały świat w zdumienie wprawi, tymczasem skończyło się na tem, że z łona góry — mała mysz wybiegła.

Ażeby odpowiedzieć na postawione przez się pytanie, autor spotrzebował taki zasób erudycji, że każdy miał prawo spodziewać się, że dana przez niego odpowiedź będzie nową, rzucającą wielkie światło na poruszone zagadnienie. Tymczasem odpowiedź ta nietylko nie jest nową, ale co gorsza wypowiedziana jest ogólnikowo i w sposób, który czyni z niej zagadkę niełatwą do rozwiązania. Podług niego filozofja ma być niczem więcej, jak metafizyką. Bardzo dobrze. Ale najprzód to zredukowanie filozofji do metafizyki nie jest wynalazkiem autora, gdyż spotykamy się z niem już u Kanta, a obecnie przyjęte jest powszechnie przynajmniej wśród angielskich filozofów; powtóre należałoby dać

dokładne wyjaśnienie tego, co autor rozumie przez metafizykę, jaki jest właściwy przedmiot, którym się ona ma zajmować. Pod tym względem nie znajdujemy w dziełku autora nic pewnego, przeciwnie, spotykamy się ze zdaniem, które paraliżuje wszelkie domysły, jakie można byłoby powziąć w tym przedmiocie na podstawie lekkich napomknień tu i ówdzie znajdowanych. Zdanie to powiada: »filozofja ma na celu... zespolenie wiedzy i wiary (religji) w całość, zaspokajającą potrzeby umysłu i serca". (str. 26). Gdyby autor zastanowił się był głębiej nieco nad rzeczą przekonałby się niezawodnie, że wyrzeczone przez niego zdanie jest... zespoleniem dwóch wyrazów, które tak przystają do siebie, jak pięść do nosa. Na innych podstawach opiera się wiedza, na innych wiara, inne są wymagania rozumu, a inne uczucia. Zresztą, zdanie to jest powtórzeniem w odmiennej formie zapatrywania Spencera, przeciwko któremu autor występuje; tylko że Spencer dokładną przeprowadził granicą pomiędzy poznaniem, a wiarą, o co nasz autor bynajmniej nie pokusił się.

Powyższe uwagi nie powinne być brane w tem znaczeniu, jakoby rozprawa p. Gabryelskiego była pozbawiona wszelkiej wartości. I owszem, można ją przeczytać z korzyścią. Nastręcza ona pytania, które pobudzają do myślenia. Szczególniej zasługuje na polecenie ta część jego dziełka, w której wykazuje niezbędność filozoficznego wykształcenia dla uczonych w jakimkolwiek kierunku badań, oraz zbija zarzuty, czynione filozofji na podstawie z góry powziętych uprzedzeń lub błędnie pojmowanego jej zadania. Uwagi autora pod tym względem są trafne. Trudno tylko zgodzić się na jedną z nich. Wierzy on, że filozofja z czasem przestanie się zmieniać, tj. że w mniej lub więcej odległej przyszłości wszyscy filozofowie przestaną się różnić co do swych zapatrywań na podstawowe zagadnienia wiedzy ludzkiej, a jak chce autor, i wiary (religji). Tej błogiej nadziei autora nie podzielamy, chociażby dlatego, że nie możemy się pozbyć wrażenia, jakie od lat dziecinnych wywierało na nas przysłowie łacińskie: Quot capita, tot sensus.

Władysław Kozłowski.



Przegląd pism.

»Free Russia«. — Luty. 1894.

Pismo, będące organem »Towarzystwa przyjaciół wolności w Rosji«, z natury rzeczy musi wiele miejsca poświęcać polemice tak z przeciwnikami swymi w Anglji, jak i w Rosji. To też lutowy numer »Wolnej Rosji« w znacznej mierze zapełniają artykuły polemiczne.

Dosadną i przekonywającą, jak wszystko co z pod pióra tego pisarza wychodzi, jest odprawa, jaką daje znany Jerzy Kennan niejakiemu Iwanowowi, identyfikującemu w jednym z miesięczników angielskich rosyjskich rewolucjonistów z zachodnio europejskimi anarchistami, jak: Ravachol, Vaillant itp. Wzmiankowany Iwanow należał do grupy ludzi, utrzymywanych przez rząd rosyjski w celu przeciwdziałania owemu coraz to szersze koła angielskie ogarniającemu współczuciu, jakie zyskuje sobie sprawa konstytucjonalizmu w Rosji. A ci sykofanci rządu rosyjskiego, których jedyną podnietą są »dziengi« moskiewskie, muszą chyba odzywać się coraz to częściej i głośniej, skoro w tym samym numerze występuje przeciw nim w drugim artykule jeden z głównych filarów Tow. przyjaciół wolności w Rosji dr. Spence Watson i wykazuje ukryty cel, do jakiego dążą w swych artykułach tacy panowie, jak wspomniany wyżej Iwanow. Celem tym jest przygotowanie w Anglji gruntu dla konwencji o wydawaniu przestępców podobnej do tej, jaką zawarł rząd rosyjski z Stanami zjednoczonemi Ameryki półn. Dr. Spence Watson wskazuje jednak na niezłomną stałość, z jaką Anglicy bronią zawsze tego prawa azylu, wskazując jako przykład, lorda Palmerstona, który zmuszony był ustąpić wskutek oburzenia, jakie wywołał w swoim czasie w Anglji jego zamiar wydania Francji osoby, która wykonała zamach na Napoleona III. I w Ameryce, — jak to widać z notatki, umieszczonej w lutowym numerze omawianego pisma — nie dano za wygranę, i walka przeciw istniejącej konwencji z Rosją idzie na dobre. — Jak wielce zależy rządowi rosyjskiemu na zrehabilitowaniu się w oczach zagranicy widać z wiadomości podanej przez »Free Russia«, że niejaki de Windt, który już był ogłosił poprzednio swe sprawozdanie o podróży po Syberji, gdzie zaprzecza kategorycznie opisowi tejże krainy i bytu zesłańców przez Kennan'a, obecnie wysłany został kosztem rządu na wyspę Sachalin, a po powrocie mieć będzie na ten temat odczyty w Anglji.

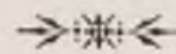
W kronice znajdujemy oprócz znanej wiadomości o kubanie, pod postacią majątku ziemskiego danym przez jenerał-gubernatora wileńskiego Orżewskiego ks. Kantakuzenowi, wysłanemu dla zbadania sprawy w Krożach, wzmiankę o bursie uczniów seminarjum duchownego w Tyflisie. Wśród żądań tych seminarzystów, żądań dotyczących spraw wewnętrznych szkoły, zasługuje na uwagę domaganie się nauki języki języka gruzińskiego, jako języka krajowego.

Polemika z półurzędową gazetą »Moskowskija Wiedomosti«, a raczej podzięka złożona temu pismu za szerzenie w Rosji wiadomości o Tow. przyj. woln. w Rosji i jego organie »Free Russia« i korespondencja z krainy lodów syberyjskich, istny »krzyk rozpaczy« wygnańca dopełniają numeru.

p.



Z RUCHU LITERACKIEGO.



Chotkowski ks. dr. Księga pamiątkowa wiecu katolickiego w Krakowie. — Kraków 1893, str. 754, złr. 3.

Gimnazja rosyjskie w Polsce. Paryż, 1893, str. 51.

Gloger Zygm. Słownik gwary ludowej w okręgu tykocińskim. (Odbitka z IV. t. Prac filolog.) Warszawa, 1894, str. 110.

I. S. Sztuka a socjalizm przez . . Kraków, 1894, str. 32, ct. 20.

Umiński. Żegluga powietrzna. (Balony i aerostaty, Lot ptaków, Maszyny latające, Baterja gazowa do celów aureonautyki). Warszawa, 1894, str. 121, rubel 1.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.